

„Byłam, widziałam, przeżyłam”

Zacząło się niewinnie, jeszcze w marcu – od planowania wakacji. Nawet nie pamiętam, kto wymyślił góry.

– Spoko – pomyślałam. Dam radę, w końcu to nie pierwszy raz.

Śnieżkę zdobyłam już trzy lata temu.

– A może by tak Tatry? – zaproponował tata... Alka jest duża, powinna dać radę.

Ups.. – zabrzmiało poważnie.

Rodzice kiedyś sporo i ostro chodzili po naszych najwyższych górach. Już wiedziałam, że nie będzie tak lajtowo jak zwykle...



Zaczęłyśmy z Alką przygotowania, naiwnie myśląc, że parę wizyt

w parkach linowych załatwi sprawę kondycji. Już wkrótce miałam się przekonać, jak bardzo się myliłam.

Nadeszły wreszcie wakacje i na początku lipca ruszyliśmy w stronę Zakopanego.

Po 6 godzinach w aucie obie z siostrą zamieniłyśmy się w osiołki ze Shreka.

– Daleko jeszcze...???!!!!

Po godzinie rodzice przestali reagować.

Wciąż jechaliśmy... Teraz wiem, co oznacza określenie „korki na zakopiance”.

Każda podróż kiedyś się kończy, więc i my w końcu znaleźliśmy się na miejscu.

W Zakopanem czekali już na nas znajomi rodziców z dziećmi – Jagodą, Kubą i Asią.

Wieczorem dorośli zasiedli przy mapach.



– Jutro zrobimy sobie spacer do Doliny Kościeliskiej – jednej z piękniejszych w Tatrach - zapowiedziała mama. „Spacer” trwał 6 godzin, ale trzeba przyznać, że faktycznie było sympatycznie i zupełnie łatwo. Zaraz na „dzień dobry” spotkaliśmy amatorów naszych kanapek. Pozbyliśmy się kanapek, co wkrótce okazało się dużym błędem. Jak się okazało, do schroniska było jeszcze 8 km i NIC do jedzenia po drodze. Nie pomagało marudzenie. Dorośli po prostu przyspieszali kroku i chcąc nie chcąc szliśmy za nimi.

To była pierwsza nauczka i lekcja – w górach zawsze trzeba mieć coś na ząb w plecaku... Wodę ewentualnie można nabrać ze strumyka, chociaż ciężko się nią napić, bo jest mocno natleniona. W końcu dotarliśmy na koniec doliny i do upragnionego schroniska. Dorośli zlitowali się i dostaliśmy obiad. Z pełnymi brzuchami znów doceniliśmy piękno gór.



Przed nami były Tatry Zachodnie. Wyglądały łagodnie, ale dowiedzieliśmy się, że szczyty, które widzimy, mają ponad 2000 m i tylko wydaje nam się, że są na wyciągnięcie ręki.

W drodze powrotnej skręciliśmy nad Smreczyński Staw (jak widać – młodsze dzieci były już mocno znudzone), po drodze mijając zamknięty szlak na Tomanową Przełęcz. Dojście na przełęcz jest zamknięte od ponad 20 lat, bo w rejonach szczytu znajduje się jedyne w Polsce miejsce gniazdowania orła przedniego, symbolu Polski.



Smreczyński Staw, tak naprawdę jest jeziorem, jak wszystkie stawy w Tatrach. W tle majaczyły się wysokie szczyty Czerwonych Wierchów. Jeszcze nie wiedziałam, że następnego dnia zdobędę dwa z nich...

– Dzieciaki spisały się dzielnie – powiedziała wieczorem mama. Może jutro Giewont, póki jest pogoda???

Pomysł nam się spodobał – koniecznie chcieliśmy zdobyć Śpiącego Rycerza i wcale nie wierzyliśmy, że od południowej strony jest łatwiej. Przecież od strony Zakopanego Giewont wyglądał tak imponująco!!! Ustaliliśmy skład wyprawy – idą dorośli i dzieciaki starsze; ciocia Paulina poświęca się i zostaje z młodzieżą młodszą (nasza Ala i ich Asia, zwana Małą) na dole.

Pobudka była bolesna – już o 6 rano (W WAKACJE!!!) tata wyrzucił wszystkich z łóżek. Szybkie śniadanie i pomknęliśmy w stronę Doliny Małej Łąki, przez którą prowadzi jeden z bardziej malowniczych szlaków na Giewont. Na początku było łatwo, schody zaczęły się na końcu doliny. No – żeby to jeszcze były schody!!! Przed nami wyrosła pionowa ściana.



Przydały się umiejętności z parku linowego. Niestety taka wspinaczka, non stop w górę była dość męcząca...



Coraz częściej odpoczywaliśmy. Znow odezwał się osiołek ze Shreka – Daleko jeszcze....???

Nagle coś zobaczyłam! – Zobaczcie!
Niedźwiedź! – krzyknęłam w nadziei, że trochę zwolnimy. Tata tylko rzucił okiem.
– Nic nam nie robi, jest daleko.
Pospieszcie się, już blisko!
Rzeczywiście – po 10 minutach wyszliśmy na przełęcz i ... stanęliśmy w prawdziwej, długą kolejkę. Nie tylko my zaplanowaliśmy tego dnia zdobycie szczytu.



Wreszcie był czas, żeby odpocząć. Kolejka przesuwała się w ślimaczym tempie. Na szczycie, który był na wyciągnięcie ręki, dotarliśmy po godzinie.

Wierzchołek Giewontu okazał się niewielki, a każdy chciał chociaż chwilę posiedzieć i zrobić sobie „selfi z rąs”. Zrozumiałam skąd ta kolejka.



My zrobiliśmy sobie selfi, ale z prawdziwego aparatu, rzuciliśmy okiem na widok z drugiej strony – Zakopane leżące u stóp i ...

... już musieliśmy schodzić, bo kolejka robiła się coraz dłuższa.

Zeszliśmy na przełęcz i tam okazało się, że to nie koniec atrakcji. Dorośli, nudząc się w kolejce, wymyślili, że pójdziemy dalej – na Kopę Kondracką i Małolączniak. Dzieci nie były zachwycone, ale przekupstwem przez czekotubkę (zagęszczone mleko czekoladowe w tubce) daliśmy się wkręcić.

Jak się wkrótce okazało, nie było warto. Znowu szliśmy i szliśmy, a szczyt był stale daleko. Na szczęście wszystko ma swój koniec, więc i my wreszcie osiągnęliśmy wierzchołek. Z Kopy Kondrackiej Giewont wydawał się malutki. To dlatego, że Kopa ma 2005 m n.p.m., a więc jest wyższa niż Giewont.



Miałam dosyć, ale odwrotu nie było. Znowu musieliśmy zejść niżej – na przełęcz, by po chwili znów wskrobać się na górę. To był już nasz ostatni cel tego dnia – Małolączniak o wysokości 2096 m npm.

Daliśmy radę wejść. Potem padłam na trawę. Poza postojem przed Giewontem, był to dopiero drugi odpoczynek tego dnia. A szliśmy już 8 godzin. Czekały nas jeszcze 3 godziny zejścia, ale o tym na szczęście nie wiedziałam.

Droga powrotna była koszmarem – szlak był okropny, po drodze tylko jedno źródło, a wszędzie kozice zrzucające kamienne lawinki na nasze głowy. Odnowiła się moja kontuzja kolana i ledwo, ledwo, wieszając się na tacie i pożyczonym od wujka kijku dałam radę zejść.

Kolejnego dnia wstałam o 11 i stanowczo odmówiłam wycieczki dokądkolwiek. Reszta dzieci miała podobne odczucia.

Po południu doszliśmy jako tako do siebie i wyraziliśmy chęć udania się na basen. – Skoro dzieci się zreanimowały, proponuję jutro spacer nad Morskie Oko – powiedziała wieczorem mama. Tylko westchnęliśmy. Już wiedzieliśmy co znaczy „spacer” w wersji mojej mamy.

Nie zawiedliśmy się – obiecany „spacer” to tylko 9 km pod górę. Dorośli stanowczo odmówili zapłaty 40 zł od łebka za konną podwózkę. Chcąc nie chcąc, nawet nie za bardzo marudząc, ruszyliśmy w stronę schroniska.

Zdążyliśmy przejść 1/3 drogi, gdy minął nas pusty wóz jadący w górę po turystów. Podwózka była warta już tylko 10 zł od łebka. Skusiły się mamy z dziećmi, a tatusiowie pobiegli galopem do góry. Zgadnijcie, kto był pierwszy?!

W całkiem dobrym stanie dotarliśmy do schroniska. Morskie Oko – to największe jezioro w Tatrach leży w Dolinie Rybiego Potoku. Widok był przepiękny – do tej pory chodziliśmy po Tatrach Zachodnich, teraz pierwszy raz zobaczyliśmy Tatry Wysokie, a rejon Morskiego Oka to nasze najwyższe polskie szczyty – Rysy, Mięguszwieckie i charakterystyczny Mnich, za nim Mniszek i Ministrant.



Zejsście było wesołe i wcale się nie zmęczylimy. Chyba już przyzwyczailiśmy się do „spacerków” po 20 km i więcej. Ostatniego dnia zaliczyliśmy nową salę interaktywną TPN (Tatrzańskiego Parku Narodowego). Tam uzupełniliśmy naszą zdobytą przez ostatni tydzień wiedzę o Tatrach, przyrodzie tatrzańskiej i postępowaniu w sytuacjach awaryjnych, jakie mogą się zdarzyć w górach. A wszystko w formie gier i zabaw.



To były super wakacje!

Joanna Wieczorek, klasa 6A